



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA DZIECI.

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznie* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny. *Kwartalnie* Rs. 1 i kop. 2½; *Miesięcznie* kop 34 i pół. Na Prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: *Rocznie* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop. 27½; w Poznaniu u N. Kamińskiego: *Rocz.* 14 marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki We Lwowie u Gubrynowicza Schmidta *Rocz.* 7 złr. 20 cent. *Kwart.* 1 złr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyą: *Rocz.* 8 złr. 80 cent. *Kwart.* 2 złr. 20 cent. w Krakowie u Gebethnera i Sp. *Rocz.* 6 złr. 60 cent. *Kwart.* 1 złr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyą: *Rocz.* 8 złr. *Kwar.* 2 złr

Biuro Redakcyi: Ulica Ś-to Krzyzka Nr. 14.

CZYTANIA WIECZORNE.

IX.

— Ojczy—pytała Józia— dla czego w moich wypisach tak dużo utworów Mickiewicza podano? Wczoraj, przerzucając je, napotkałam znowu kilka drobnych poezyj pod tytułem: *Sonetów krymskich Mickiewicza*.

— I przeczytałaś je? — zapytał p. Kański.

— Nie, nie miałam czasu.

— To może teraz kilka z nich przeczytamy — dozwolił p. Kański — bo widzę, że zgomadziliśmy się tu wszyscy, a na dworze zimno i przechadzka nie byłaby miłą. Kaziu, kolój na ciebie. Ale zanim czytać zaczniesz, dodać muszę, iż te utwory, sonetami zwane, pisał Mickiewicz w czasie podróży swojej do Krymu i w nich



Adam Mickiewicz.

wrażenia, jakich doznał na widok pięknej przyrody, uczucia, które wtedy władały sercem jego, wyraził. Czytaj teraz pierwszy pod tytułem: *Stepy Akermanskie*; a wiedzieć trzeba, że stepy są to wielkie płaszczyny, pokryte wysokimi trawami; drzewa na nich nie rosną, rozciągają się one około miasta Akermanu, położonego niedaleko morza Czarnego.

Kazio czytał:

Stepy Akermanskie.

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu;
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi;
Wśród fali łąk szumiących, wśród kwiatów po-
wodzi,

Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu—
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek
łodzi:

Tam zdała błyszczą obłok, tam jutrzienka wscho-
dzi—

To błyszczą Dniestr, to weszła lampa Akermanu!

Stójmy!—Jak cicho!—Słyszę ciągnące żórawie,
Którychby nie dościgły źrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie.

Kędy wąż ślizką pierśią dotyka się ziola—
W takiej ciszy tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy—jedźmy! nikt nie
woła.

Gdy skończył:—Biedny Mickiewicz—ode-
zwała się Halcia.

— Dla czego?—zapytał p. Kański.

— Bo żaden głos nie odpowiedział mu
z Litwy, a on tej odpowiedzi bardzo pragnąć
musiał.

— Mickiewicz urodził się na Litwie, w Nowo-
gródku 1798 r. i w témże miasteczku, w szko-
łach Dominikańskich, kończył nauki szkolne
i wielu pozyskał przyjaciół. Niemniej lubio-
ny był i ceniony przez swoich kolegów w u-
niwersytecie Wileńskim, który chlubnie ukoń-
czywszy, był czas jakiś profesorem w gimna-
zyum w Kownie. Gdy po trzech latach wrócił
do Wilna 1823 r., został uwięziony, a z nim
wielu profesorów, kolegów jego, studentów,

nawet uczniów gimnazjalnych. Po długim
i ciężkim więzieniu, wszyscy prawie wysła-
ni zostali w głąb państwa. Mickiewicz do
Moskwy, a gdy na to pozwolono, wyjechał
do Odessy, nad morze Czarne, z kądem odbył
zajmującą do Krymu wycieczkę. Cóż dzi-
wnego, że znalazłszy się wśród stepu, przy-
pomnił sobie dom rodzinny, w którym wa-
kacje spędzał, wioskę Zaosie i kolegów po
świecie rozproszonych i wszystkich, których
kochał i wszystko, co kochał i serce ścisnęło
mu się na myśl, że ich może nigdy nie zobaczy
i nadśluchował, rychło głos jakiś znany
i drogi się odezwie. Lecz nic nie usłyszał.
Wtedy może o nim zapomniano—teraz już
nikt nie zapomnia!

— Dla czego?—zapytała Józia.

— Bo Mickiewicz, to największy nasz
poeta, jeden z tych kilku poetów, których
poezye setki lat czytane będą, a dla nas naj-
droższy!

— A więc w tych sonetach—rzekł Staś—
Mickiewicz nie tylko opisuje otaczającą go
przyrodę, ale i myśli i uczucia, które się
w nim budziły.

— W dwóch pierwszych zwrotkach zwy-
kle krajobraz, w dwóch ostatnich uczucia
własne.

— Ojciec—zauważyła Józia—w tym wierszu:

Słyszę kędy się motyl kołysa na trawie.
jest przesada, przecie tego nikt dosłyszeć nie
może?

— Bezwątpienia—potwierdził ojciec—ale
jest to przesada umyślna i taką zwą *hyperbo-
lę*. Poeta umyślnie zbyt jaskrawy maluje
nam obraz, żeby nam dać o rzeczy dokładne
wyobrażenie.

— Dla czego też, ojciec, utwór ten ciągle
sonetem nazywasz?—zapytał Staś.

— Bo ten rodzaj poezji tak nazywają;
a nawet, co do tego rodzaju, to i pomylić się
nie można, bo gdy w elegii, balladzie i t. d.
poeta ma dużo swobody, co do formy i liczby
wierszy, to w sonecie, autor trzymać się mu-
si pewnych, stałych przepisów. Każdy sonet
musi mieć cztery strofy, czyli zwrotki, a wiersz
czternaście. Dwie pierwsze strofy mają po
cztery wiersze, dwie ostatnie po trzy wiersze.
Obrazkiem jest sonet, drobnym, krótkim, ale

nieraz bardzo pięknym, rzewnym, malowniczym. W sonetach najczęściej uczucia wyrażano i dla tego liczą je do poezyi liryczno-epicznych.

— A czy nie dowiemy się, ojcze, co się stało z Mickiewiczem?—zagadnęła Józia—czy w samej rzeczy nigdy już Litwy nie zobaczył?

— Litwy on już nigdy nie zobaczył! Wkrótce wyjechał za granicę do Niemiec i Włoch i już ztamąd do kraju wrócić nie mógł. Resztę życia spędził po większej części w Paryżu, gdzie lat kilka był profesorem. W Paryżu mieszkając, tak tęsknił za Litwą, za ziemią rodzinną, tak ją wybornie i żywo pamiętał, że tam skreślił swoje arcydzieło: *Pana Tadeusza*, w którym tak opisuje Litwę, jakby żaden Litwin, mieszkający wśród puszczy i lasów, nie potrafił. Umarł on w r. 1854.

— A nie możemy jeszcze parę jego sonetów dziś przeczytać?—odezwała się Halka.

— I owszem—odparł p. Kański, podając jej książkę otwartą na sonecie:

Ż e g l u g a.

Szum gęstszy, gęściej morskie snują się strasz-
dła;

Majtek wbiegł na drabinę: gotujcie się, dzieci!
Wbiegł, rozciągnął się, zawisł w niewidzialnej
sieni,

Jak pająk czatujący na skinienie sidła.

Wiatr! wiatr! Dąsa się okręt, zrywa się z wędzi-
dła,

Przewala się, nurkuje w pianistej zamieci—
Wznosi kark, zdeptał fale i wskroś niebios leci,
Obłoki czołem sieka, wiatr chwyta pod skrzydła.

I mój duch masztu lotem buja śród odmętu,
Wzdyma się wyobraźnia, jak warkocz tych żagli.
Mimowolny krzyk łączę z wesołym orszakiem

Wyciągam ręce, padam na piersi okrętu,
Zdaje się, że piersi moja do pędu go nagli:
Lekko mi! rzeźwo! lubo! wiem, co to być pta-
kiem—

A gdy Halcia czytać przestała, rzekł oj-
ciec.

— Wszak rozumiecie.

— O, rozumiemy. Wybornie opisana żegluga, ruch na okręcie, gdy wiatr pomysłny zadmie i samo posuwanie się statku, jego swoboda, jego duma, że falom panuje. I nic dziwnego, że i poeta czuje się potężnym, myśli jego bieżą daleko, w nieskończoność i cieszy się swobodą swoją i potęgą swoją—kończyła Halka.

— Widzicie więc sami, jak piękne są Mickiewicza utwory, a przecie najpiękniejszych nie znacie. Ale zagadaliśmy się dziś okrutnie, a przecie muszę wam jeszcze powiedzieć, że gdy poeta jedno uczucie ciągle powtarza, coraz silniej lub coraz słabiej, to się to zwie stopniowaniem; tu np.: Lekko mi! rzeźwo! lubo!

Anastazyja Dzieduszycka.

GAWĘDY PODSŁUCHANE U WIŚLANEJ FALI.

przez M—a.

II.

U zbiegu siedmiu strumieni. 1)

W jakiś czas później, gdy lud osiadły u źródeł Wisły rozrodził się już i rozsiadł szeroko, usłyszano znowu wieść, że wielki wojownik z południa z ogromnym wojskiem zbliża się ku Wiśle, ujarzmiając napotykaną ludźmi, mieczem i ogniem pustosząc wszystko po drodze. Groza poprzedzała straszne wojownika. Lud nad Wisłą postanowił się bronić, i raczej pozwolić się zabić na miejscu, niż uznać nad sobą władzę jednego i to obcego pana. Straszny wojownik szedł ciągle naprzód. Kronikarz Kadłubek, wzmiankujący o tych odległych rzeczach, powiada, że *Pannoni*, to jest Węgrzy, poddali się sami temu wojownikowi, który rozwinąwszy wtedy szeroko wojska swoje, wkroczył na ziemię Sło-

wian i zgniółł po prostu potęgą sił przeważnych, z jednej strony Szlązaków, z drugiej Małopolan. Kadłubek, opowiadając bitwę jaka później nastąpiła, nie wymienia miejscowości, w której ta bitwa zaszła. Rozważając więc tylko wzmiankowaną przez niego okoliczność, że wojownik wdzierał się z dwóch stron, od Szlązka i od Małopolan, można się domyślać, iż punkt owęj bitwy musiał przypaść pomiędzy Szlązkiem a dzisiejszym Krakowem. Zastanawiając się zaś nad tamtejszą miejscowością i różnemi okolicznościami wzmiankowanemi przez kronikarza, można także się domyślać, że punkt ten przypadł u złączenia się siedmiu źródeł, wypływających z Baranięj góry, połączonych w jedną wąską i płytką tu jeszcze rzekę, zwaną Wisłą. Prawdopodobnie bowiem wojownik, chcący z wojskiem przeprowić się przez rzekę na dalsze podboje, musiał wybrać owo miejsce najpłytsze i najwęższe do przeprowy dla tych wojsk, które przychodziły wprost z południa. A właśnie u zbiegu owych siedmiu strumieni mieszkał sobie pewien gospodarz rządny i przemyślny, imieniem *Lestko*, który był jednym z najpoważniejszych w gminie. To też na wieść o zbliżaniu się obcego wojska w tę stronę, cały lud okoliczny zbiegał się w popłochu do Lestkowej chaty, témbardziej, że już na parę dni wprzód rada starców, zebrawszy się, *rozesała wici* po okolicy, zwołując lud na rozpaczliwą obronę w owo miejsce zagrożone najściem. Mnóstwo tam pni drzewnych stosami leżało, stosownej długości i napół już przyrzadzonych, bo Lestko trudnił się wyrobem łódek małych, któremi po Wiśle pływano.

— Do Wisły! gdzie Lestkowa chata, do Wisły!—wołał więc lud i biegł ku Lestkowej chacie, otaczając go i szukając u niego rady, gdyż powaga radnych starców okrutnie zachwianą tam była na wieść, że odleglejsze pokolenia zostały już pobite, mimo radców swoich. A chociaż wszyscy Słowianie rządili się wówczas rządem gminowładnym, to jest mądrością wybranych do przewodniczenia każdej gromadzie starców, to przecież w chwili niebezpieczeństwa dawały się słyszeć różne wykrzyki:

— Ho, hol jakże tamten obcy wódz nie

ma zwyciężać, kiedy rozum swój w jednę mądręj głowie mieści: co pomyśli, to już i zrobił. A u nas, jak dwanaście mądrych głów zacznie radzić, to minie czas sposobny do czynu, nim oni się zgodzą.

— Oj, ojl padli już Szlązacy, padli Małopolanie, to już i nam paść przyjdzie.—Takie głosy odzywały się w tłumie koło Lestkowej chaty. A Lestko aż się za włosy i brodę szarpał z żalu słysząc to, bo wiedział, że wojownicy, idący do bitwy z takimi okrzykami, nie mogą zwyciężyć, gdyż sami już z góry są zwyciężeni i zabici nawet... na duchu. Rada starców widziała także ten upadek ducha u ludu i postanowiła użyć wszelkich środków ku podniesieniu go i wzmocnieniu. Że zaś, jak to wiadomo, religijne obrzędy i wspólne modły wiele znaczą w takim razie, tedy wyszły odpowiednie rozporządzenia od rady gminnej, i w miarę jak lud ściągał ku Lestkowej chacie, obrzędy religijne rozpoczynały się na około tęg chaty, po rozległym obszarze, między Wisłą i wielkim wówczas istniejącym tam borem. Więc przedewszystkiem dały się zewsząd słyszeć odgłosy gęśli i dwanaście gromad gęslarzy, każda ze starcem w bieli na czele, jęło postępować ku obszarowi za Lestkową chatą, grając i śpiewając chórem taką pieśń:

Grzmij Perunie! błysnij! zbiegnij

Z naszą pieśnią w jeden ton!

Ogień męztwa w nas zażegnij! —

Nam zwycięztwo! wrogom zgon!

— Nam zwycięztwo wrogom zgon!—powtórzyło czoło narodu. A gdy w tęgże chwili odległy huk gromu odezwał się w przepaściach chmurnego nieba, a echa lesne i wodne go także powtórzyły, tedy już cały lud, jakby mu istotnie jakiś tajemniczy piorun zażęgl obumierającego ducha, huknął gromowym głosem, jak jeden:

— Nam zwycięztwo! wrogom zgon!

I poczęto zbiegać się coraz tłumniej i tłoczyć dokoła gęslarzy. Oni tymczasem, śpiewając i grając ciągle wedle zwyczaju, obrali sobie na obszarze dwanaście wzgórków największych. Każdy taki wzgórek otoczyli gęslarze, a przywodzący im białobrody w lnia-

ném długiém odzieniu starzec wstąpił na pagórek i stał podnosząc ręce i oczy do nieba. Pieśń brzmiała wciąż z piersi całego ludu, a przy jój brzmieniu rozniecono dwanaście ognisk na dwunastu wzgórkach i sprowadzono dwanaście wół dzikich do stóp dwunastu starców, stojących wciąż na swych pagórkach, jak białe posągi wpatrzone w niebo... Naraz dwanaście nożów ofiarniczych błysnęło w słońcu—i dwanaście ofiar jednym krótkim ale strasznym rykiem śmiertelnym wmieszało się w pieśń ludu, ale w téjże chwili ta pieśń, zamiast wybuchać z największą potęgą, aby usłyszał ją wielki Jesse, nagle umilkła, i gęśle nawet umilkły w obezwładnionych dłoniach gęślarzy i przerażenie, zgroza wionęła po skamieniałej rzeszy, bo oto: jeden z dwunastu ofiarnych wół, niepojętym wypadkiem, wyrwał się trzymającym go mężom z pod ciosu najstarszego z białych starców, i brocząc obficie a tratując lud spłoszony, pędził w strasznych dzikich poskokach ku lasowi, wściekłym rykiem wypełniając obszary: pędził, aż znikł. Krótka ta chwila była tak straszna, że nawet jedenastu starców ofiarników straciło przytomność i wznosząc ręce pochylali głowy i szyje aż ku drgającym u stóp ofiarom, jakby cios śmiertelny uderzył w nich samych, w ofiarników. Jeden tylko, najstarszy, ten, z pod którego ciosu zerwała się rycząca ofiara, nie przeląkł się strasznej wieszczby, jaką wedle pogańskiej wiary stanowił ów niesłychany z ofiarą wypadek. Ten jeden starzec biały na najwyższym z pagórków stał znowu jak posąg, wysoki i silny, z czołem i rękoma podniesionymi wysoko, patrząc za uciekającą ofiarą, a twarz mu dziwnym blaskiem jaśniała. Tak jaśniała, że blaskiem swoim pociągnęła do siebie wszystkie oczy, jak to czyni światło. Jedenastu starców, gęślarze i lud, wszyscy zawisli oczyma po pierwszej chwili przestachu, na jaśniejących oczach najstarszego starca. Chwilę trwało nieme, natężone oczekiwanie czegoś, z czego nikt nie mógł sobie zdać sprawy, a milczenie, panujące po nad tym przerażonym tłumem, było tak wielkie, że przelatujący orzeł, przerażony tą ciszą, zwinął nagle szeleszczące skrzydła i przysiadł, nie na skale, ale na prostym dębie, jak-

by gołąb wylekły... A wtém znikła w lesie ofiara rycząca i zabrzmiał głos:

— Tak ucieknie wojownik najezdźca! Dzięki ci, Perunie!—wygłosiwszy te słowa grmiącym, potężnym głosem, jedyny starzec niewylekły wyciągnął ręce jeszcze wyżej, dziękczynnie do nieba. Jedno mgnienie oka trwało pełne zdumienia wahanie—nagle, jedenastu starców i wszyscy gęślarze uderzyli w dziękczynną pieśń, a za ich popędem lud cały, zgromadzony pomiędzy Wisłą a bo-rem, wykrzyknął w szale radosnym:

— Dzięki ci! ach dzięki, Perunie! — Odwaga i nadzieja wróciły.

Gdy się to działo na obszarze poza Lestkową chatą, Lestko, naszarpawszy się włosów swych także już trochę siwiejących, widząc poprzedni upadek na duchu swych współbraci, nie poszedł z niemi na obchód ofiarny, lecz cofnąwszy się do swój chaty, dumał samotnie, co czynić ku podniesieniu ducha ludu?— a przytém odbierał co chwila różne doniesienia od wierniej czeladki, która, rozbiegłszy się w bory, lasy i wąwozy, wypatrywała zdaleka zbliżającego się nieprzyjaciela i biegła z nowiną do swego gospodarza, ufna, że jeżeli kto, to chyba on ostatniej zagładzie narodu zaradzi; bo kochano Lestka serdecznie. Więc jeden, przypadłszy bez tchu, powiada:

— Już, już widać ich za Wisłą, na Morawskiej drodze, jeno się błyszczą na słońcu, jakby tysiące słońc szło!

A drugi przypada i prawi:

— Już, już przechodzą węgierskie wąwozy, a łby złote im się błyszczą, jak słońca.

A trzeci przypada i rzeknie:

— Już, już tylko co ich i ztąd nie widać, bo idą straszną ławą, a tarcze, co ich całych zasłaniają, błyszczą im się, jak ława księżyców srebrnych.

Więc zerwie się Lestko nagle, bo dosyć już miał owych donosów, a przytém Lestko znaczy: Chytry—i krzyknie na swoich:

— Héj! czeladko wierna moja! słuchać mię, a żwawo! Chwytać mi wszystkie te czółenka retmańskie nasze, gotowe i tamte dopiero rozpoczęte, i owe pniaki na czółna, a wszystko to przewróciwszy do góry dnem, pociągnąć one dna tą *srebrną glejtą*, która tam

oto w kotłach stoi gotowa, aby wyglądały na srebro. A wy, reszta, brać mi toporki a noże do ręki i ciosać tak, jak ja te oto grube drewna kawały, zgruba, aby ot niby wyglądały na śpiczasty łeb, i malować mi te łby oto tak, tą oto z garnka tego *kokoryczą* (*fumaria officinalis*) aby wyglądały jako łby *złote*, jako mówicie, że jest u tych najezdzców. Tak wołał Lestko, a zanim on to dokończył, już czeladka wierna rozkazy jego ślepo spełniała. Aż gdy spełniła, rzeknie on znów:

— W lot mi teraz chwytać srebrne czółna a pieńki i stawiać je na sztorc, jeden wedle drugiego, tu za chatą moją w szeregu długim, srebrnymi błyszczącymi wypukło dnami ku Wiśle, aby wyglądały jako tarcze srebrne podłużne, jakie wedle słów waszych niesie wojsko obcego wojownika przed sobą. A te łby śpiczaste, kokoryczą malowane, zatykać mi chyżo na tykach po za udanemi temi tarczami, aby jeno trochę z poza nich wyglądały, jako wyglądają złote hełmy wojsk wojownika idącego na nas, wedle waszej powieści.

Jak rzekł Lestko, tak się stało; ogromny sztuczny szereg wojowników, błyszczący w słońcu srebrem i złotem, na wyżynie po nad Wisłą rozciągnął się gotów do boju. A kiedy kończono ich ustawianie, właśnie zabłysły w oddali prawdziwe szeregi srebrnych i złotych tarcz i hełmów, które prowadził wielki wojownik z południa. Zobaczył on zdaleka błyszczące na słońcu wojownicze udane zastępy nieprzyjaciół, i zdumiał się, i wstrzymał swoich na miejscu, gdyż pewien był dotąd, że idzie zgnieść lud prawie bezbronny, a teraz nagle ujrzał jego mniemane zastępy gotowe do boju i lśniące od srebra i złota, jak jego własne. A w téjże właśnie chwili zagrzmiał z piersi ludu całego gromowy ów okrzyk:

— Dzięki ci! ach dzięki, Perunie!—I zdumiał się bardziej jeszcze południowy wojownik, stojąc w miejscu a rozpatrując się w niespodziewanym widoku. A wtém wypadnie Lestko chytry pomiędzy ów śpiewający lud swój i krzyknie:

— Ludul ludu! patrz oto Argiraspidzi ¹⁾

¹⁾ Tak nazywano niezwyciężone wojsko wojownika z południa.

zawahali się w pochodzie zwyciężkim, na widok pni drzewnych, które za wojowników udałem, pójdź teraz ludu cicho za mną, a wpadniemy na Argiraspidów z boku, z lasów, z dwóch stron, gdy do boju na moje udane wojski się rzucą.

I chyżo a cicho sunęły w lasy dwie mężów co najdzielniejszych gromady: jedna za Lestkiem, a druga za druhem jego, z jego rozkazu; a sunęły w strony sobie przeciwne i znikły. Ale tłum zgromadzony około dwunastu pagórków pozostał nieruchomy i dwunastu starców białych stało jak posągi na swych pagórkach, nad jedenastu zwęglonemi już ofiarami; a otaczający owych starców gęślarze grali na gęślach i pieśń potężna brzmiała znów z piersi całego ludu:

Grzmij Perunie! błysz iskrami!

Z naszą pieśnią w jeden ton!

Drzyj najezdzcó! Perun z nami!

Tobie hańba! albo zgon!

Wojownik z południa popatrzał, posłuchał zdaleka i rozkazał stawić przed sobą niewolników słowiańskich, zabranych u sąsiednich zgniecionych już pokoleń, i rzekł do nich:

— Powiedźcie mi, zkąd się tu u waszych pobratymców wzięły te szeregi wojowników uzbrojonych tak jak moi? I powiedźcie mi, co to za pieśń rozlega się w powietrzu? a udaruję was wolnością.

Więc niewolnicy słowiańscy, rozumiejący słowa pieśni, niezrozumiałe dla obcego, tak odpowiedzieli:

— Nie wiemy, zkąd jest ów zastęp wojenny tam na wzgórzu błyszczący, ale oczywiście muszą to być jakoweś posiłki potężne zkądś z sąsiedztwa przysłane Polanom tu-tejszym, gdyż pieśń ich, drgająca w powietrzu, brzmi tryumfem.

— Tak! ale *moim* tryumfem!—zakrzyknął wojownik z południa.

I téjże chwili, jakby on sam był piorunem, rzucił się ze swemi z przedniej straży na udane wojenne zastępy. Lecz zanim ich dosięgł, wypadły na niego z boków dwa skryte oddziały mężów, prowadzone przez Lestka i jego druha, i po krótkiej walce pokonały

go. Widząc wodza swego w niebezpieczeństwie, biegł na miejsce walki cały tam zgromadzony tłum jego wojowników. Ale dobiegłszy nie zastali już na pobojowisku zwycięzców ani zwyciężonych, tylko wódz sam z kilku towarzyszami zbiegł do wojsk swoich, szalony od gniewu, i powiódł ich pomścić jego zniewagę na błyszczących ciągle w słońcu, nieruchomych owych zastępach. Ale gdy ich już mieli osiągnąć, powstał nagle zamęt i popłoch na tyłach zwycięzkiego dotąd wojska najeźdźców; i sam wojownik z południa zadrzał pierwszy raz w życiu, ujrzawszy, że tam jego własni wojownicy walczą sami ze sobą śmiertelnie. Bo nie poznał zdaleka, że to Lestka i jego druha mężowie, przebrawszy się chyżo w odzienie pierwszych pobitych nieprzyjacielskich wojowników i w zbroje ich, napadli teraz z tyłu najeźdźców. I wstrzymał wódz zapęd swoich biegnących na Polan zastępów i biegł sam usmierzyć bunt swoich, zanimby na cudzych uderzył. A wtém lud śpiewający pieśń na okolo pagórków poruszył się. Najstarszy ze starców, ten któremu uciekła ofiara, zastąpił z pagórka z gołą szablą lśniącą i z gorejącą głównią w dłoniach wysoko podniesionych ku niebu, biegł otoczony gęślarzami, a za niemi biegł cały lud, i tak cały uderzył na wroga. I pękła pod tém uderzeniem Argiraspidów potęga. Niezwyciężony dotąd wojownik z południa uszedł haniebnie z małą garstką swoich. Uciekając, ryczał z wściekłości i bólu tak, jak owa ofiara, która się wyrwała z pod ciosu.

To, co się stało, stało się tak nagle i jakby samo ze siebie, że sam lud zwycięzki zdumiał się, gdy zwyciężył kilkakroć liczniejsze od siebie zastępy. Więc gdy znikli już Argiraspidzi, począł lud zwycięzki różnie objawiać zdziwienie swoje, idąc napowrót pod wodzą starca z szablą i głównią ku pagórkom, dla odprawienia dziękczynnej teraz ofiary, jak tamta poprzednia była błagalną. Mówili tedy i wołali jedni:

— Lestko! nikt tylko Lestko mądrością swą nas uratował.

A drudzy starsi mówili kiwając głowami:

— Oj, oj! czy to nie głównia a szabla sprawiła tę cudowność, bo wszak od starych

to wiemy, że szabla i ogień czczone były dawniej między nami jako bogi: ani chybi, tylko stary guślarz wy dostał ze schowka stare jakies te dwa bogi potężne i potęgą ich zwyciężył.

A inni jeszcze mówili:

— Ot, sprawiliśmy Perunowi taką wspa niałą ofiarę, jakiej dawno nie dostał: jedena ście przepysznych wołów, to nie lada co, więc też dał nam za nie zwycięstwo.

Wtém umilkli rozmawiający, bo gęślarze poczynali grać i śpiewać, jak zwykle przed ofiarą; a gdy i oni umilkli, najstarszy ze starców guślarzy stojący znów na szczycie najwyższego pagórka, jak biały posąg z głównią jeszcze w dłoni, złożył tę głównią na ołtarzu zkąd ją wziął, a ręce i czoło i oczy podniósł w niebiosa...

— A ofiara? gdzie jest ofiara? niema ofiary!—dziwił się lud w milczeniu, oczyma tylko wyrażając podziwienie. A starzec mówił:

— Perunie! lud twój zwyciężył! Zwyciężył nie siłą wołów, bo słabym był; ani siłą mądrości, bo wojownik z południa, który pół świata ujarzmił, mędrszym niechybnie jest; ani siłą szabli i ognia, bo szablę i ogień musi i tamten najeźdźca czcić, kiedy najeźdźcą i zwycięzcą dotąd bywał: lud twój zwyciężył siłą ducha, Perunie! z ducha też składa ci teraz dziękczynną ofiarę.. Dzięki ci, Perunie!.. Guślarz podniósł jeszcze wyżej ręce do nieba i lud cały podniósł je także za jego przykładem. Długą chwilę stali tak w uroczystém milczeniu, składając ducha ofiarę... Potém lud spokojny rozszedł się do zatrudnień swoich. Chata Lestkowa rozrosła się w dużą wieś zwaną *Wisłą*, ponieważ leży u zbiegu strumieni, tworzących razem dopięro rzekę *Wisłę*.

B O B R Y .

Rycina nasza przedstawia te dowcipne zwierzęta, zajęte swoim budownictwem. Bobry zamieszkiwały dawniej wszystkie rzeki północnej i środkowej Europy, dziś już tylko gdzieniegdzie je napotkać można i nigdzie

w Europie nie budują sobie tak kunsztownych mieszkań, tylko w zwyczajnych podziemnych norach siedzą. Niedawno jednak ktoś donosił z nad Narwi, że tam bobry znacznie się rozmnożyły i zabrały się do budowania sławnych drewnianych swoich domków. Domki te widzicie na rycinie. Są to pagórki zaokrąglone, złożone z nagromadzonych kawałków drzewa i gałęzi, przekładanych ziemią i mułem, zupełnie, jak mularska robota. Wewnątrz jest komórka, gdzie mieszka rodzina bobrów, a czasem i kilka rodzin, i druga, gdzie sobie przemyślnie zwierzęta gromadzą zapasy żywności na zimę. Z komórek tych wychodzą długie podziemne korytarze, któremi dostają się do wody. Domki te zwykle budowane są przy samym brzegu rzeki, a nawet i w wodzie; wtenczas bobry muszą najprzód urządzić rodzaj podstawy, czyli fundamentu z gałęzi i mułu. Oprócz domków, przemyślnie te zwierzęta budują jeszcze groble w poprzek strumieni, ażeby wodę utrzymać w jednostajnej wysokości. I tu także nagromadzają gałęzie, kawałki drzewa i przekładają je ziemią i mułem.

Bobry należą do rzędu zwierząt gryzących, które się odznaczają odrębnymi zębami. W tym rzędzie mieszczą się zające, króliki, wiewiórki, myszy i wiele innych niewielkich zwierzątek. Wszystkie one, jak wiecie, doskonale gryzą i skrobią twarde różne przedmioty, któremi się żywią. Mają do tego w każdej szczęce po dwa zęby ścięte klinowato, oddzielone od trzonowych odstępem próżnym. Zęby te ciągle się ścierają, ale też ciągle od korzenia podrastają i zawsze mają długość dostateczną. U bobrów zęby te są nadzwyczaj silne, nacinają też niemi gałęzie, a nawet pnie drzew, tak wybornie, jak piłą. Gdy zrobią dokoła pnia głębokie nacięcia, rozgryzają go z łatwością do reszty i obalają. Podobnym sposobem rozcinają pień na krótsze kawałki i mają gotowy materiał budowlany.

Zwierzęta te żywią się głównie korą drzew i korzonkami rozmaitych roślin. Latem opuszczają swoje mieszkania i ciągle w wodzie siedzą. Pływają doskonale, a ogon szczególnego kształtu, spłaszczony i pokryty twar-

데미 łuskami, służy im przytém za wiosło. Któż nie zna pięknych i kosztownych futer bobrowych? Głównie też dla tych futer zwierzęta te wyniszczone zostały w całej Europie, a nawet i w Syberji, gdzie dawniej było ich mnóstwo. Oprócz futer poszukiwany jest także strój bobrowy, masa zawarta w gruczołkach ukrytych pod ogonem bobra, w niektórych chorobach używana jako lekarstwo. Obecnie jeszcze najwięcej bobrów pozostało w Ameryce, głównie w Kanadzie, lecz i tam niemiłosiernie je tępią.

Dawniejsi naturaliści opowiadali o bobrach wiele rzeczy dziwnych i nieprawdopodobnych; utrzymywali naprzykład, że one budując groble ustawiają kawałki drzewa w pionowym kierunku jeden obok drugiego, wbijają je na dno rzeki, przekładają drobniejszemi gałązkami i umacniają mułem, a przytém posługują się ogonem tak, jak kielnią. Dziś jednak przekonano się, iż wszystko to są bajeczki, chociaż zwierzęcy ten przemysł w każdym razie bardzo jest zadziwiający.

M. J. Z.

KLEMENTYNA Z TAŃSKICH HOFFMANOWA

przez

Anastazją Dzieduszycką.

(Dokończenie).

Znowu drobny szczegół, ale dający nam poznać p. Hoffmanową, a teraz już w Pamiętniku takich mało; cały zapelniony opisem Paryża, zakładów naukowych, wypadków, uroczystości i t. d.

21 Lipca 1833 r. Poranek zszedł na szyciu i naprawie bielizny, zupełnie bez piórka, ale mi tego nie żal. Już rok mija, jak obchodzę się bez służącej i jak prócz sukien nowych, nikt dla mnie, ani dla męża, ścięgu jednego nie zrobił: wyznaję, że tym szczegółem więcej jeszcze gotowam się chlubić, aniżeli tém,

żem napisała w tym roku tyle a tyle. Prawda, że to czas zabiera, aleć mnie się zdaje, że pierwszym mojem powołaniem było być

nie bardzo jednostajnie; po przybyciu do Paryża tęskni za wieściami z kraju, od swoich; do pracy włożyć się nie może; potem pisze



B o b r y.

kobietą, a dopiero drugim, autorką.

Nie dziw, że p. Hoffmanowa rzadko o sobie pisze w Pamiętniku swoim; życie jój pły-

pilnie, ale *Rozrywki* przestają wychodzić, o inne dzieła nikt nie pyta; zdaje się, że w kraju zajęci ważnemi wypadkami, mało kto czy-

ta... Powoli poprawiają się stosunki, wieści z kraju dochodzą, powieści nowe p. Hoffmannów: *Krystyna* i *Karolina*, znajdują pokup; p. Hoffmannowa w lecie wyjeżdża w okolice Paryża, albo na brzeg morza, albo do Szwajcaryi. W tych latach jednak zaczyna upadać na zdrowiu; cierpienia te po ośmiu latach śmierć jęj sprowadzą. Widzieliśmy, jak żyła, kochała Boga i ludzi i pracowała, patrzmyż, jak cierpieć umie, jak umiera...

Po raz pierwszy wspomina o guziku, który jęj się zrobił na piersi prawej, lekarze od razu radzą wykrojenie; myśl ta niepokoi ją:

7 Października 1833 r. Z tęj przyczyny miałam już wiele chwil przykrych i nocy niespanych, ile że moję niespokojność przed mężem kryję... Bóg dobry w razie odwagi doda.

8 Października. Od kilku czasów minowolnie myśl moja zajęta śmiercią, a ponieważ dużo szyję, ręcznemi robotami się trudnię i często sama jestem, mam czas oddawać się tym rozpamiętywaniom. Powiedzieć mogę szczerze, a przynajmniej w tęj chwili tak mi się wydaje, że gdybym męża nie miała, nieżalby mi było życia. Od straty ojczyzny, od rozdzielenia się z rodziną, z przyjaciółmi, ze znajomymi, od tego raptownego przesadzenia na obcą ziemię, życie moje tylko w mężu ma wdzięk cały.

Ona, która operacyi się obawiała, w chwili, w której się ma odbyć, z jakim że spokojem o nię wspomina:

9 Stycznia 1834 r. Nadszedł ów czwartek, dla mnie tak stanowczy, za chwilę przyjdą doktorowie. Boże dobry, pobłogosław!..

25 Stycznia 1834 r. Pobłogosławił Bóg, wszystko się jaknajpomyślniej odbyło... o jak wszystko miło przy takich staraniach!..

3 Czerwca 1834 r. Blizko cztery miesiące nie pisałam tego dziennika, z początku żal mi było męczyć rękę. Dziś przyniesiono mi tom pierwszy *Rozrywek*, przecież wydrukowany... miłość własna moja nie jest zaspokojona, ale serce zupełnie, bo nie szczędziłam pracy, żeby użyteczną była; czy się podoba, nie wiem, nierównie mniej o to dbam, niż dawniej. Teraz dwóch rzeczy tylko mi się chce: pożytku dla drugich i jakiego takiego zasiłku dla siebie; o sławę nie a nic się nie troszę.

29 Sierpnia 1836 r. z *St. Germain en Laye*, niedaleko Paryża, tam lato spędzali:—Wolę tu życie nasze, jak w Paryżu. Codziennie prawie chodzimy do lasu, ja zawsze nowe ziółko, nowy kwiatek do domu przynoszę.

Żeby być szczęśliwym, trzeba umieć być szczęśliwym. Trzeba koniecznie wewnętrznej pogody i ciszy, a pokój ten wyjdzie na jaw; tylko spokojna woda powtarza obraz błękitnego nieba.

29 Sierpnia 1841 r. Wspomina o drugiej szczęśliwie przebytej operacyi, o poprzedzających ją i towarzyszących jęj zapewne dolegliwych cierpieniach, nic, albo bardzo mało.

W 1842 r. jedzie do Wrocławia na spotkanie ciotki i siostry; o radości swęj mówi dłużej, niż o smutkach.

W 1844 r. odbywa z mężem podróż do Włoch, radzono jęj to dla zdrowia; oto co pisze o sobie 29 Września, we Florencyi.

Smutna mnie rzecz spotkała w terazniejszej podróży. Oto przekonywam się, że starzeję (miała lat 46). Wszystko mnie męczy, kości bolą, jak łóżko niewygodne, spać nie mogę, wzrok mi słabiej. Nie martwi mnie to bardzo, bo i to kolęj konieczna rzeczy ludzkich i życia; ale mi się chce odpoczynku i spokoju. Chciałabym posiadać jaki pewny, miły, jaki własny kącik; chciałabym mieć swój pokoiik do pracy, gdzieby mi nikt nie przechodził, chyba mąż czasem zastukał, chciałoby mi się już być na tēm miejscu, gdzie umrę. Jak jeszcze zobacę Rzym i Neapol, gotowam dać na siebie cyrograf, że się nigdzie już z miejsca nie ruszę, tylko niech mam widok na ogródek i niebo.

Dalęj opisuje kościół Anuncyaty (Zwiastowania) we Florencyi i dodaje: Ale mnie więćej niż kościół zawsze zajmują krużganki; zda mi się, że tambym życie pędziła; jak piękne, jak mówiące te ściany, ta podłoga z samych napisów grobowych! kiedy już człowiek dużo drogich osób przeżył, kiedy sam już przepołowił choćby też i najdłuższe życie, dziwne ma upodobanie w grobach; może jest w tēm i samolubstwa trochę, widzieć, że i umarli zapomnieni nie są. O! zawsze, zawsze! coraz bardziej mieć pragnę tablicę w krużganku u Reformatów! (w Warszawie). Nie nie chcę, tylko nazwisko moje, rok

śmierci i te słowa: „Dzieci i matki, zmówcie Zdrowaś Marya za jój duszę.“ To jej życzenie spełnioném zostało, a serce jej w katedrze na Wawelu w Krakowie złożono.

8 Grudnia 1844 r. z Rzymu. Taki to człowiek, życie i życzenia jego! od czasu, jak myśleć umiem, za szczyt szczęścia uważałam sobie być w Rzymie. Tak pragnęłam Rzymu, że nie śmiałam przyznawać się do tego pragnienia i długo nie widziałam podobieństwa, aby się spełniło. Otóż Bóg, potężniejszy niż ludzie, zrobił to, iż jestem w Rzymie; ale żeby pokazać, że niczego żądać nad siły nie trzeba, odmówił właśnie tu zdrowia, które mi dotąd tak zawsze służyło. Niech będzie imię Jego pochwalone i za to co dał, i za to, czego odmawia. Muszę tylko prosić gorąco o cierpliwość i nakazać ją sobie wraz ze słodyczą, bo może różne przykre przeprawy wytrwać przyjdzie, nim się do zdrowia dojdzie.

Nie przewidywała, że już zdrowia nie odzyszcze.

1845 r. 18 Marca odbywa spowiedź w Rzymie i skarży się na utrudzenie. — Gdzie się to moje zdrowie podziało? Gdzie za rok wielkanocna spowiedź? a czy żyć będę? Nie wiem, co mi Bóg przeznacza, jaki będzie koniec tej mojej słabości, a raczej choroby; ale to wiem, że duszy na dobre wyjdzie, przy pomocy jego. Nigdy jeszcze śmierć, drugie życie, tak mi mocno przed oczami nie były; nigdy jeszcze tak silnie w nie nie uwierzyłam.

21 Marca. Nie może być w kościele choć to Wielki Piątek, tak jest cierpiącą, ale za to zapisuje w pamiętniku:

— Ofiaruję Bogu cierpienia moje, łzy moje, całą siebie, niech czyni ze mną, co Mu się podoba. Przyrzekam być w Twoich ręku, jak glina w ręku garncarza; rób ze mną, co Ci się podoba, wróć lub zabierz mi zdrowie; trzymaj mnie w tém lub w owém miejscu, w dostatkach czy w ubóstwie, wśród przyjaciół, czy samotną, w sławie lub zapomnieniu. I tyle trosk o to życie, o to zdrowie! czyż to warto? Kto do moich lat nie dobrego nie spełnił, już podobno i w dalszych latach nie spełni.

1 Maja 1845 r. zapisuje powrót do Pary-

ża i nadzieję, że może Bóg zdrowie jój wrócić raczy; nadzieja ta spełnioną nie została; nastąpiło wprawdzie chwilowe polepszenie, dnia 25 Lipca przeniosła się do wsi Passy, ale sił nie miała, nie mogła nawet się przechadzać. Co rano wynoszono jój pod drzewo krzesło, stoliczek, parę książek, najczęściej nabożnej treści i tam czytała, robiła robotę, przyjmowała odwiedziny; wieczór tak samo spędzała w pokoju. Nie nie pisała, cierpiała wiele, ale z nieprzełamaną słodyczą: — Zdaje mi się, że mi nogi umarły — rzekła raz spokojnie: — Trudno to podobno będzie tyle złego naprawić — dodała, myśląc o różnorodności swych cierpień. Spodziewała się jednak wrócić do Paryża 25 Września i już naprzód w pularesiku zapisała jak ma dni tam spędzać: — Rano obudziwszy się, oddać się Bogu i ułożyć dzień cały, leki, pacierze, czytanie poważne przed śniadaniem, godzinka lekcy i pracy (z wychowanką), ubranie się; reszta poranku, jak Bóg pozwoli, gęste modlitwy, choć krótkie, a nad wieczorem króciuchna! Co dzień ducha posłać do kościoła, kiedy ciało iść nie może.

Były to ostatnie słowa przez nią w pamiętniku zapisane, a były to nie wyrazy znużenia lub zniechęcenia, lecz rachunek z siłami własnymi, z silném postanowieniem zużycia ich do ostatka w pocziwej pracy. Bóg inaczej rozporządził: w nocy z 19 na 20 Września zgasła po cichu, bez cierpienia, w Passy. Nie nie zwiastowało blizkiej śmierci, blizcy jój nie przechodzili przez trwogi chwil ostatnich i ona ich nie doznała; prośby jój wysłuchane zostały.

Skończyłam i spojrzałam na moich słuchaczów: jeszcze zdawali się słuchać, jeszcze dalszego ciągu oczekiwać.

— Czy was zasmuciłam szczegółami ostatnich chwil téj kobiety, której życie tak znacném było? — zapytałam wsłuchaną gromadkę. — Śmierć jój była łagodném przejściem z pracowitego, pocziwego życia, do miejsc, gdzie nagroda wydzieloną jój została, gdzie znalazła upragniony, a tu na ziemi niebywały spokój i spoczynek. Za życia p. Hoffmannowej umiano ją cenić, pierwsze szczególniej prace jój przyjęto z podziwem i uwielbieniem, ale dopiero straciwszy ją, poznano jak

bardzo społeczeństwu potrzebną była. Każdy zeszyt *Rozrywek* był to przyjaciel, odwiedzający dobrych znajomych, znający ich potrzeby, przynoszący radość i radę; inne jej dzieła brały do ręki osoby różnego wieku w chwilach smutku, zniechęcenia, wątpliwości i zawsze znajdowały w nich pociechę, ukrzepienie, drogowskaz.

Trzydzieści pięć lat upłynęło od jej zgonu, pomnik wzniesiony dla niej na cmentarzu Père-la-Chaise w Paryżu, chociaż z kamienia, rozpada się w gruzy, ale nasze przywiązanie, cześć, wdzięczność, nie doznały uszczerbku, a najlepszym tego dowodem, że was dziś tu zastałam z jej dziełami w ręku, że wy się na jej pismach kształcicie tak, jak my i matki nasze na nich się kształciły i tak jak my, nieraz powtarzać będziecie: Wiele jesteśmy jej winne.

MOJA PIESZCZOTKA.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

Teresę-Jadwigę.

(*Dalszy ciąg*).

— Et, co mi tam bój dzisiejszy—ozwał się naraz milczący dotychczas kasztelan Zawistowski—wam się zdaje, żeście wielkiego dzieła dokazali i cóż to znaczy garstkę rozproszyć... W innym ja ogniu bywałem nieraz: ot pamiętam lat 30 temu, a może i więcej, to to była walka... Zdrajca Wołoszyn zmiótł nam wtedy najdzielniejszą młodzież; kto uszedł śmierci, ten uszedł cudem, anieli chyba skrzydłami swemi go zastłonili. Jakem się wydostał z tej matni, to nie wiem, było to za króla Olbrachta, poprzednika miłościwego króla Zygmunta r. 1497 podobno. Poszliśmy na Wołocha i nic nie sprawiwszy, wracaliśmy do domu, wjechaliśmy właśnie w las, gdy drzewa na nas walić się poczęły, a potem Wołosi zdrajcy, co je podcięli, wypadli

z szablami i dalejże do przytłoczonych. Jak uniknąłem śmierci, jak wydostałem się z tej matni, to nie wiem, powtarzam, cudem chyba.

— O wilku mowa, a wilk tu—odezwał się nagle cicho, siedzący obok kasztelana wojewodzie Pożarski—słyszycie bracia?

Kasztelan nadstawił ucha, inni też samo uczynili.

W istocie coś jakby odgłos kopyt końskich słyhać było.

— Zdrajcy, w nocy napaść nas chcą—ozwało się kilku.

Począł kolo ogniska zrobiła się znowu cisza... jednych twarze pobladły, innych zmarszczyły się gniewnie. Wtém wśród milczenia nocy rozległ się głos straży—Kto idzie?

— Spozrzegli—szepnął kasztelan.

— Swój—zabrzmiała odpowiedź.

— Pewno, iż nie powiedzą, że wróg—rzekł wojewoda—i pomacał, czy ma szablę przy boku, inni też samo uczynili.

Tymczasem w obozie hetmana zrobił się ruch, dano znać wodzowi, iż ktoś nadciąga, Wołoch, lub może pomoc niespodziewana; więc wyszedł i kazał śpiących pobudzić. Odgłos kopyt końskich stawał się coraz wyraźniejszy, nadjeżdżający, albo byli przyjaciółmi, więc wymieniwszy hasło, puszczeni przez strażę zostali; albo wrogami i zamordowali tych, co ich pytali, utorowali sobie wolną drogę. Hetman czekał powtórnego wezwania straży, o kilkadziesiąt kroków od obozu stały drugie czaty.

— Kto idzie?—zabrzmiało niebawem w powietrzu.

— Swój!—odpowiedziano mu.

— Hasło!—pytała straż.

— Wiara!

— Swój! swój!—krzyknął hetman i potrwożeni rycerze wrócili do ognisk, śmiejąc się z próżnego niepokoju, inni poszli naprzeciw przybywającym. Niebawem okrzyki powitania rozległy się, i między namioty wjechało kilkadziesiąt rycerzy; posiadali z koni, oddali je pacholkom, począł dzielić się na gromadki, poszli jedni do hetmana, drudzy do ognisk spocząć i posilić się.

— Zkądże to?—zapytał kasztelan tego, który siadł przy nim, a był to pan Balicki herbu Topor.

— Z Radomia—odparł zapytany—znużeni strasznie jesteście, odpoczywaliście tylko, ile koniom wytchnąć trzeba było; chcieliśmy nagrodzić spóźnienie.

— Toście z naszych stron, świeże wieści będę miał. Cóż tam słyhać, powiedzcie, proszę—rzekł kasztelan—zostawiłem w domu żonę i córkę jedyną, pieściotkę moją najdroższą, bo też dziewczyna jak malina, drugiej podobnej chyba nie widzieliście. Tęskno mi za nią strasznie, i lękam się czasem, jak tam sobie rady dają.

— A zostawiliście im kogo do rady, jakiego dzielnego człowieka, coby i głowę i ręce miał silne?—zapytał przybyły.

— Tak, jakby nikogo.

— To źle.

— Abo co?

Balicki poruszył głową, potarł czoło:

— Bo ludzie różne rzeczy rozpowiadają.

Kasztelan przysunął się niespokojny:

— Mówcie że jaśniej—rzekł.

— Kiedy może to plotki.

— Wszystko mi jedno, ja chcę wiedzieć, co mówią.

— I ja też, i ja też—ozwało się kilka głosów.

— Powiadają, że w lasach koło Radomia ukazała się banda rabusiów, że napadają dwory, mordują, palą—począł Balicki—mówią, że to jeden z oddziału bandy Kafunka i Minkwica, Niemców, co przyszli nasz kraj niszczyć, a może i oni sami.

Kasztelan ręce załamał, aż palce zatrzeszczały.

— I mówicie, że koło Radomia się kręca?—rzekł.

— Tak nam ludzie gadali.

— A nie wymienili lasów, w których się ukrywają?

— Powiedzieli, że obecnie przeszli do lasów wsi Kamionki!

Kasztelan porwał się z pnia, na którym siedział.

— Et, co mi tam Wołoch—krzyknął—co mi tam wojna. U mnie dziewczyna jedyna, jeszcze mi ją porwą... nie zostanę tu ani chwili, dadzą sobie rady bezemnie.—I skierował się wprost do namiotu hetmana.

— Jeśli wódz pozwoli kasztelanowi wra-

cać, ja także nie myślę tu czekać, aż dadzą znać, że Kafunek dom mi zrabował—rzekł jeden z siedzących u ogniska.—Abo ja gorszy od niego?

— Macie słusność, starosto, ja też nie myślę zostać, gdy wy pójdziecie; wszakże i ja mam w radomskim wioskę.

— Abo to ja gdzieindziej mieszkam?—ozwał się trzeci—pociągnę za wami, możecie być pewni.

Tymczasem kasztelan stanął przed hetmanem.

Jan z Tarnowa, otoczony kilku dostojnymi panami, coś rozprawił żywo; spostrzegłszy idącego ku sobie, postąpił naprzeciw.

— A toście w porę przyszli—rzekł—właśnie miałem słać po was. Wytrawnym, doświadczonym żołnierzem jesteście, panie kasztelanie; starosta Korycki, który właśnie przywiódł mi posiłki, powiada, iż schwycił na drodze szpiega, idącego z obozu Petryły, że ten pod groźbą śmierci występował mu wszystko, czego chciał się dowiedzieć... Podobno gospodar niedaleko nas obozuje z ogromnymi siłami; ci których rankiem spotkaliśmy, to był tylko, jak wam mówiłem, rekonesans, na zwiady wysłany; trzeba by to sprawdzić. Idzie tu o rzecz ważną, o losy całej Rzeczypospolitej, bo jeśli pomyłkę popelnimy, jeśli Wołoszyn nas zgniecie, to pójdzie i dalej, a wtedy biada miastom naszym. Weźcie kilku dzielniejszych ze swojej chorągwi i tak za godzinę, gdy będzie blisko północy, na zwiady się puście.

Kasztelan nie odpowiedział, skłonił się w milczeniu wodzowi i odszedł.

(d. c. n.)

PRZYGODY

NIESTRASZONYCH PODRÓŻNIKÓW

W PUSZCZACH AFRYKAŃSKICH.

(Dalszy ciąg).

— Nie namyślaj się pan długo—rzekł kapitan, marszcząc groźnie czoło—wiesz do-

brze, czém pachnie sprzeciwienie się mojej woli; zresztą, wszakże niedawno sam pan nieproszony ofiarowałeś mi swoje usługi.

— Jeżeli nas do tego zmuszasz kapitanie...

— Zrozumieście nakoniec. A teraz uprzedzam panów, że jeśli się dobrze sprawać będziecie, dostaniecie, tak jak i wszyscy moi podwładni, pewną część zysków z naszej wyprawy; w razie zaś jakichkolwiek wybryków... napijecie się wody z oceanu.

— Przekonałeś nas, kapitanie — zawołali obaj jednogłośnie — niepodobna się oprzeć twojej wymowie.

— Pamiętajcież, moi panowie, że jesteście pod moją władzą póty, póki ostatni murzyn nie opuści pokładu okrętu; potem możecie zrobić z sobą, co się wam podoba, macie najzupełniejsze prawo opowiadać po całym świecie, że was więziono na Osie, pan komisarz będzie mógł podać do swojego rządu najobszerniejszy raport, i uwiadomić wszystkich, że kapitan Noel zatopił fregatę angielską; ja na wszystko przystaję.

— Kapitanie, jeszcze słówko — odezwał się Giliasse, który często dowcipem swoim zdumiewał kolegę Toucasa — co pan zrobisz z dwoma młodymi towarzyszami naszymi?

— Nic; dali mi słowo, że nie uciekną, to mi wystarcza.

— Należałoby jednak, abyś pan nam tych młodzieńców dodał do pomocy.

— A to na co?

— Widzisz pan, oni zajmują niższe od nas posady rządowe; byłoby to zatem z ujmą naszej godności, ażeby zachowali tu na okręcie stanowisko niezależne, podczas gdy my, starsi i wyżsi od nich urzędem, musieliśmy uleść pańskiej władzy. Gotowi nas później ogadywać.

— Ależ oni z pewnością odmówią.

— O, kapitanie, masz takie wyborne sposoby namawiania ludzi; spróbuj tylko.

— Niech i tak będzie; kiedy już teraz należycie panowie do mojej osady okrętowej, nie chcę pierwszej prośby waszej odrzucić.

Mówiąc te słowa, kapitan Noel z trudnością się od śmiechu powstrzymywał, potem odszedł śpiesznie, zostawiając dwóch przyjaciół samych.

— Co u licha miał w głowie naczelny komisarz marynarki w Bordeaux, żeby nas wsadzić na taki okręt? — mówił Toucas, odchodząc także wraz z przyjacielem.

Kapitan tymczasem dotrzymał im słowa i kazał wezwać do siebie dwóch młodzieńców, wcale jednak nie nalegał na nich, tylko na wpół żartem oznajmił im życzenie starszych towarzyszków, ażeby dopomogli im spełnić nowo przyjęte obowiązki na okręcie. Ponieważ kapitan nie wspomniał przed nimi o udziale w zyskach, więc obaj rozśmieli się tylko na tę propozycję, a spotkawszy się z Toucasem na pokładzie, upewnili go, że nie mają mu za złe umowy z kapitanem, gdyż musiał uleść przemocą, przyrzekli nawet zaświadczyć to w razie potrzeby.

Wszystko powoli na okręcie powróciło do dawnego stanu. Osa przybrała znowu skromną powierzchowność żaglowego, handlowego okrętu, tylko Giliasse i Toucas przedstawieni zostali całej osadzie, jako nowo zaciągnięci jej członkowie, a dwaj młodzieńcy prowadzili życie całkiem odosobnione.

We dwadzieścia dni później, Osa zbliżyła się do brzegów amerykańskich, a o 11-tęj godzinie w nocy zatrzymała się w malutkiej przystani, w okolicy Rio-Grande. Kapitan kazał wypuścić z okrętu trzy race, jedną po drugiej. Piękne te ogniki przesuwwały się jak meteory na tle błękitu nieba, i zakreślając świetne łuki, spadały w nurty oceanu. Noc była przesliczna, tysiące gwiazd migotało na niebie i odbijało się w wód zwierciadło, a morze było tak spokojne, że okręt zdawał się płynąć wśród niebieskiego sklepienia. Wtém nagle z wybrzeża także strzeliła w górę raca i rozsypała się w tysiące iskier ognistych; była to widocznie odpowiedź na sygnał dany z okrętu i kapitan kazał natychmiast zapalić latarnią na przodzie statku. W godzinę później ujrzano na morzu od strony lądu czarny punkt, poruszający się i zbliżający do okrętu, niebawem też podpłynęła mała łódka i po drabinie spuszczonej przez majtków, wdrapał się zreźnie na pomost jakiś człowiek, którego kapitan Noel powitał, jak dobrego znajomego.

— Jak się masz, don Joachimie.

— Jak się masz kapitanie.

I nie tracąc czasu na próżną rozmowę, obaj weszli do kajuty kapitana i drzwi za sobą zamknęli.

— Cóż tam nowego?—zapytał kapitan trochę niespokojnie.

— Nic tak bardzo dobrego, ale i nic złego— odrzekł tamten.

— Czyżbyśmy mieli nie zrozumieć pisma, odebranego przez Rontonaka? Wszak szło o zamówienie, nieprawdaz?

— Bądź pan spokojny; w liście przesyłanym przez pocztę nie można przecież wyjaśnić szczegółowo takich interesów; pisanie mogłoby się dostać w niewłaściwe ręce, a my tu i tak zagrożeni jesteśmy ze wszystkich stron. Rontonak także mi donosił, że go mają na oku. Napisałem więc z wszelką ostrożnością, że mam dla niego zapas kawy i kampeżowego drzewa; odpowiedział, że przysśle po to Osę. Teraz więc, tak jak zwykle, umowę zrobimy tu we dwóch.

(d. c. n.)

nie trzech możnych i zasłużonych rodzin; dwie pierwsze wygasły w krótkim czasie odstępie, ostatni ich przedstawiciele zginęli śmiercią bohaterską z ręki wrogów ojczyzny; trzecia wzniosła się do wielkiej chwały.

Był ten zamek kolebką dwóch królów polskich. Przeszedł w końcu raz jeszcze do innej rodziny; nie długo jednak pozostawał w jej rękach; starożytny zamek, wstawiony tyłu historycznymi pamiątkami, smutnemu uległ losowi, zagarnięty był przez wierzycieli. Dziś mury jego, pomimo upustoszenia, stoją jeszcze w całości.

(Kto nadeśle najlepsze rozwiązanie, otrzyma w nagrodę książkę p. t.: *Wędrowka po niebie i ziemi* przez M. J. Zaleską. Po przyznaniu nagrody, rozwiązanie będzie wydrukowane).

Zadanie konikowe.

(Sewer. H. dla Jerz. B.)

hen	na	nik	do	go	ur	le	ni
rzekł	ciel	ny	ci	a	i	gdzie	ka
sia	pr	mu	ja	ej	niedz	daj	cie
	przy	pań	żar	je	w	ku	zu
chy		ku			tu	czek	wle
dzie		ba	neho	ry	po	piar	je
			san	ni	waj	hen	man
	to	czek			zjeń	ed	pań

Zagadka historyczno-geograficzna.

Z nagrodą.

Na szczycie wysokiej góry, nad źródłem spławnej rzeki, w przeslicznym położeniu, stoi zamek starożytny.

W początkach istnienia swego, w czasach niezmiernie dawnych, był on w posiadaniu różnych udzielnych książąt, przez czas jakiś przebywała w nim nawet załoga cudzoziemska, w końcu wojska królewskie zdobywać go musiały po długim oblężeniu, chociaż stał na ziemi polskiej.

Odtąd zamek ten był własnością możnych rodzin szlacheckich, a mieszkańcy jego słynęli w dziejach naszych z pięknych i bohaterskich czynów.

Najpierw z łaski królewskiej otrzymał go rycerz, który w obronie kraju wielkie położył zasługi; jeden zaś z potomków tego męża zebrał i spisał wiadomości geograficzne wielkiego znaczenia w czasach ówczesnych dla bezpieczeństwa kraju i jego obrońców.

Przechodził później ów zamek w posiada-

Łamigłówka w kwadraciku. (K. Gr.)

W kwadraciku złożonym z 9 podziałek ułożyć 2 K—4 O—1 R—2 T—tak, żeby odczytać w pionowym i poziomym kierunku:

- 1) Zwierzę.
- 2) Część twarzy.
- 3) Nazwa drogi.

Rozwiązania do Nru 18.

Kryptografu:

Trafila kosa na kamień.

Łamigłówni zgłoskowej:

Wir
Io
Edmund
Cesarz ¹⁾
Zaleski
Organ
Ruben
Yonne.

Wieczory Rodzinne.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Tadziowi Sz. Bylibyśmy już od dawna odesłali początek powiastki, ale w dawniejszym liściku nie było wcale adresu, a i teraz chociaż był adres mieszkania, brakło znów nazwiska, które ledwie z wielkim trudem odszukaliśmy w naszych registrach. Jeżeli kochani korespondenci chcą, żebyśmy śpiesznie żądania ich spełniali, niechże zawsze wypiszą wyraźnie i dokładnie nazwisko i adres. W łamigłównie znowu znalazła się omyłka; wstyd nam bardzo, bo to już drugi raz w tym roku, na przyszłość będziemy się lepiej pilnowali. Dziękujemy za miłą dla nas wiadomość, że *Wieczory* tak są niecierpliwie wyglądan i z taką przyjemnością czytane. Rozwiązania wszystkie trafne.

¹⁾ W tej łamigłównie, w Nrze 18 przez omyłkę wydrukowano *zar* zamiast *sarz* i mylnie dodano określenie.

Treść.—Czytania wieczorne, (z drzeworytem), przez Anasztazję Dzieduszycką.—Gawędy podsłuchane u wiślanej fali, przez M—a.—Bobyry, (z drzeworytem), przez M. J. Z.—Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, przez Anasztazję Dzieduszycką, (dokończenie).—Moja pieszczołka, (powieść historyczna), przez Teresę-Jadwigę, (dalszy ciąg).—Przygody nieustraszonych podróżników w puszczech Afrykańskich, (dalszy ciąg).—Zagadka historyczna, (z nagrodą).—Łamigłówni.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od Redakcyi.—W dodatku Tajemnica Starego Dworu, (powieść).

Brońci M. Łamigłówna dobrze odgadnięta, ale pamiętamy, że dawniej odbieraliśmy dłuższe liściki i teraz takiego wyglądamy.

M. Ph. Otrzymaliśmy łamigłówni z tym podpisem, ale żadnej z nich wydrukować nie możemy, bo potrzeba koniecznie, żeby i ostatnie litery wyrazów miały jakieś znaczenie.

Karolkowi Ph. Dla tej samej przyczyny łamigłówni zamieścić nie możemy, ale nie należy się nigdy zrażać pierwszym niepowodzeniem. Prosimy wszystkich współpracowników w dziale łamigłówek, aby zaniechali zgłoskowych, nadto pospolitych, a nowe jakieś obmyślali.

Władysiewi N. Obie łamigłówni są dobre i będą drukowane, ale radzibyśmy bardzo odebrać dłuższy liścik z wiadomością, które powiastki lub opowiadania naukowe w naszych *Wieczorach* najwięcej czytelników zajmują.

Maryni R. w Angustówku. Książeczka wysłana; pozostaje u nas do rozporządzenia 25 kop., gdyż *Wakacje Janka i Zosi* dla naszych prenumeratorów kosztują 75 kop.

Helence B. w Uściługu. Zaginiony Nr. wysłaliśmy powtórnie. Prosimy wszystkich prenumeratorów, aby jak najspieszniej dawali znać do redakcyi, jeśli Pisma w porę nie odbiorą, a chociaż to nigdy nie bywa z naszej winy, zawsze chętnie na to poradzimy. Komedyjka, trzecia już w roku bieżącym, będzie w tym miesiącu jeszcze drukowana; może ta właśnie okaże się stosowna. W każdym razie, gdzie jest taki brak aktorów, można z łatwością jedną lub dwie role mniej ważne z każdej komedyjki usunąć, a z dłuższych można wybierać tylko parę scen do odegrania. Łamigłówni kryształowe chętnie zamieścimy; ale zgłoskowych mamy wielki zapas, na długo wystarczający.

Zosi G. w Kijowie. Brakujący arkusz powieści wysłaliśmy w osobnej opasce, pewnie już odebrany. Cieszymy się bardzo, że się ta powiastka tak podobała; a kto ją napisał, to trudno byłoby powiedzieć; pomysł wzięty jest z angielskiej powieści Mrs Oliphant, przeznaczonej dla osób dorosłych, ale polskie przerobienie dla młodzieży różni się znacznie od oryginału angielskiego. Pieśni dawne będą dalej zamieszczane, a ponieważ w dalszym ciągu ma nastąpić niemiecka pieśń o Nibelungach, która zupełnie odrębną całość stanowi, więc urządziliśmy przerwę, z powodu nawału innych przedmiotów. O komedijkach pamiętamy; w tym roku będzie ich przynajmniej sześć, a może i więcej, jeżeli tylko miejsca starczy.

Oleci Gr. w Dąbrowie. Kryptograf trafnie odgadnięty; ale czemu to kochana i stała korespondentka nasza, która takie ładne liściki umie pisać, tym razem przesała nam tylko dwa wierszyki? to za mało.